

*Opracował Jerzy Madzelan*

## OPOWIEŚCI BROKOWSKIE DZIECI TEHERANU

W wyniku porozumienia niemiecko-radzieckiego z 23 sierpnia 1939, doszło we wrześniu 1939 r. do kolejnego rozbioru Polski. Przebieg linii granicznej rozdzielającej obu agresorów zatwierdzono 28 września 1939 r. Wojska najeźdźców, które wcześniej znalazły się poza wyznaczoną linią, musiały wycofać się na przyznane sobie terytorium.

Niemcy już od 1 września 1939 r. traktowali ludność żydowską z ogromną brutalnością, toteż tysiące Żydów przeszły na wschodnią stronę linii granicznej. Późniejsze sowieckie deportacje na wschód objęły także społeczność żydowską. Podczas trzeciej, trwającej od maja do lipca 1940 r. fali deportacji, Żydzi z centralnej i zachodniej Polski stanowili ok. 80% deportowanych.

Po podpisaniu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski–Majski, doszło do „amnestii”. Wieść o amnestii docierała do obywateli polskich z opóźnieniem, a w wielu przypadkach nie dochodziła wcale, gdyż komendanci miejsc, w których osadzono deportowanych, obawiali się utraty niewolniczej siły roboczej.

Na wieść o tworzeniu na południu ZSRR armii polskiej, tłumy uwolnionych ruszyły w poszukiwaniu miejsc, gdzie jednostki te miały być formowane.

Ewakuowanej do Iranu armii polskiej towarzyszyło ok. 70 tys. cywilów, a tym ok. 14 tys. dzieci. Pośród tych dzieci ok. tysiąca miało pochodzenie żydowskie. Większość z nich, poprzez kaspijski port Pahlawi, dotarła w drugiej połowie 1942 r. do Teheranu. Tutaj, w cywilnym obozie nr 2 zorganizowano dla nich Żydowski Dom Dziecka. Te „dzieci Teheranu” zdecydowano się przewieźć do Palestyny.

Organizacja transportu okazała się jednak trudniejsza, niż oczekiwano. Władze irackie odmówiły udzielenia prawa do tranzytu. Planowano nawet przewieźć te dzieci jako „polskich junaków”, ale Brytyjczycy obawiali się pogorszenia i tak już napiętych stosunków z władzami irackimi. Dzieci te trafiły do Palestyny drogą morską poprzez Suez.

Ulokowane w Palestynie polskie Centrum Informacji na Wschód rozpoczęło w 1943 r. rejestrację relacji przybyłych dzieci z ich tułaczki. Relacje te, zwane „protokołami palestyńskimi”, przekazano do Rządu Polskiego w Londynie. Ich kopie trafiły po wojnie do Archiwum Instytutu Hoovera w Stanford w USA.

W 1999 r. placówka ta przekazała Polsce sto pojemników z mikrofilmami zawierającymi prawie milion starannie zinwentaryzowanych polskich dokumentów z okresu II wojny światowej. Pośród mikrofilmów znalazły się także „protokoły palestyńskie”, które obecnie są powszechnie dostępne.

Wśród dokumentów są też relacje dzieci pochodzących z naszego regionu. Zamieściłem opowieści dzieci pochodzących z Różana, Broku i Wyszkowa. W publikowanych tekstach dokonałem jedynie minimalnych zmian. Moje ingerencje mają charakter czysto techniczny. Spisujący zeznania oficerowie nie dysponowali polskimi maszynami do pisania, więc za konieczne uznałem poprawienie literówek. Relacje spisywano zazwyczaj „jednym ciągiem”, bez oddzielania poszczególnych wątków akapitami. Wprowadziłem więc akapity dla wprowadzenia większej przejrzystości tekstu.

Linia rozdzielająca sowiecką i niemiecką strefę okupacyjną przebiegała tuż za Małkinią. Ze względu na dobre skomunikowanie z Warszawą, Małkinia stała się celem wędrówki dziesiątek tysięcy uchodźców pragnących uciec spod niemieckiego władztwa. W drugiej części opracowania zamieściłem fragmenty relacji trzech osób, które przekroczyły granicę właśnie w Małkini oraz jednej, która przez granicę na Bugu przeprawiła się nieco dalej, ale za cenne uznałem jej spostrzeżenia poczynione m.in. w Węgrowie.

## PROTOKÓŁ NR 36

Zeznania Zwi Elsan, lat 15, córki Henecha i Pesi, urodzonej i zamieszkałej w miejscowości Kurzan<sup>1</sup>, pod Łomżą, przybyłej do Palestyny ze swym bratem Nisanem, lat 12, w lutym 1943.

Ojciec mój był człowiekiem zamożnym, właścicielem fabryki świec i wielkiego hurtowego składu spożywczego. W domu było pięcioro dzieci.

Drugiego września 1940 r. miasto nasze zostało zbombardowane w skrupulatny sposób przez niemieckich lotników. Koło miasta znajdowały się koszary i w nich dużo wojska. Polskie władze zarządziły ewakuację całej ludności. Nie zdążyliśmy nawet nic zabrać ze sobą. Uciekliśmy do Wądowej<sup>2</sup>, ale kiedy weszli tam Niemcy i zaczęły się prześladowania Żydów, pojechaliśmy do Ostrowia Mazowieckiego, gdzie mieszkał nasz kuzyn.

## RZEŻ W OSTROWIU

Urządziliśmy się w Ostrowiu całkiem przyzwoicie. Miasto zajęli bolszewicy.<sup>3</sup> Potem przyszli Niemcy. Spodziewano się jednak, że Niemcy wyjdą i bolszewicy znów powrócą. Niemcy urządzali pogromy na Żydów, a Polacy im pomagali. Wielu Żydów opuściło miasteczko i przeszło na stronę rosyjską. Słabi, chorzy i rodziny posiadające małe dzieci, zostały w miasteczku i czekały zmiany na lepsze.

Pewnego dnia, po miesiącu naszego pobytu w Ostrowiu, wyszło rozporządzenie, by wszyscy Żydzi zebrali się na placu za miastem, skąd odprowadzi się ich w stronę sowieckiej granicy. Zebrali się wszyscy. Mojego ojca nie było w owym czasie w mieście i dlatego spóźnił się na miejsce zbiórki. Kiedy podszedł do placu, dochodziła stamtąd gęsta strzelanina. Ukryliśmy się w piwnicy opuszczonego domku. To nas uratowało od śmierci. Wszyscy Żydzi zebrani na placu w liczbie 600 zostali zastrzeleni. Wielu pochowano na półżywych. Plac, na którym odbyła się rzeź i gdzie znajdował się wspólny grób 600 Żydów, został wyasfaltowany i przeznaczony na stację autobusową.

Dwa dni spędziliśmy ukryci w piwnicy. Nie mieliśmy nic do jedzenia, a nawet wody i dlatego w nocy wykradliśmy się z kryjówki i uciekliśmy w stronę

<sup>1</sup> Z dużą dozą pewności można stwierdzić, że chodzi o Różan. [przypis autora opracowania]

<sup>2</sup> Chodzi zapewne o Wąsewo. [przypis autora opracowania]

<sup>3</sup> Nie słyszałem, aby we wrześniu 1939 r. do miasta weszła armia sowiecka. Zgodnie z początkowymi ustaleniami, Ostrow Mazowiecka miała znaleźć się wprawdzie w rosyjskiej strefie okupacyjnej i Niemcy rozpoczęli przygotowania do przekazania miasta, ale do tego nie doszło. [przypis autora opracowania]

granicy rosyjskiej, którą przekroczyliśmy szczęśliwie. Znaleźliśmy się w miasteczku Zambrów. W Zambrowie spędziliśmy dwa tygodnie. W mieście było pełno uchodźców i nie można było dostać noclegu. Postanowiliśmy uciec do miasteczka Boćki, gdzie miejscowy rabin był krewnym mojego ojca. Sądziliśmy, że tam się urządzimy. Dziewięć miesięcy spędziliśmy w tym miasteczku. Ojciec nie brał udziału w wyborach i nie chciał wziąć sowieckiego paszportu. Twierdził, że nie weźmie sowieckiego paszportu, bo w Polsce zostawił swój majątek. Ponieważ miasteczko było małe, a władza spoczywała w ręku miejscowych komunistów, nie baliśmy się, aby nam co złego się stało.

W lutym 1940 roku zostało ogłoszone rozporządzenie o rejestracji tych obywateli polskich, którzy chcą powrócić do okupacji niemieckiej. Ponieważ z tamtej strony nadchodziły wiadomości, że sytuacja się polepszyła i ludzie zarabiają wcale dobrze na życie, a tu było nam wciąż gorzej, ojciec się zarejestrował. Minęły dwa miesiące. W czerwcu 1941 roku<sup>4</sup> wśród nocy zastukano do drzwi, kazano nam się wszystkim ubrać i zapakować część rzeczy. Pod oknem stali żołnierze z karabinami i powiedzieli nam, że jedziemy do Baranowicz, gdzie odbywa się wymiana obywateli. Na rynku znajdowało się już dużo zebranych z Wyszkowa i Międzyrzecza. Załadowano nas na auta ciężarowe i zawieziono na dworzec kolejowy. Tam umieszczono nas w wagonach towarowych po 40 osób w każdym wagonie wraz z bagażem. Ciasno było strasznie. Z przycz korzystało tylko 10 osób. Wagony zaplombowano i rozpoczęła się podróż, która trwała miesiąc, aż przybyliśmy do Archangielska.

#### NA PASIOŁKU

Zaraz nazajutrz po przybyciu do Archangielska, odesłano nas na pasiołek<sup>5</sup>. Mieszkaliśmy w barakach po 50 osób w jednym: Polacy, Żydzi i Białorusini. Żydzi nieraz zwracali się z prośbą, aby dano im oddzielne baraki, ale prośba ta nie poskutkowała. Cierpieliśmy wiele od nie-Żydów, szczególnie od Białorusinów. Obrażano nas, upokarzano, a czasem nawet bito. Nikt nie śmiał poskarżyć się komendantowi, bo czekał go marny los.

Pracowaliśmy w lesie. Robota polegała na ścinaniu drzew, załadowaniu ich do wagonów i obcinaniu gałęzi. Ja także piłowałam drzewa. Moja norma wynosiła osiem kubików dziennie. Naprawdę wycinałam tylko jeden kubik. Otrzymywaliśmy za to: dzieci do lat 16 – 400 gramów chleba, a kto z dorosłych

<sup>4</sup> Z pewnością pomyłka i chodziło o czerwiec roku 1940. [przypis autora opracowania]

<sup>5</sup> Miejsce przeznaczone do zasiedlenia przez ludność deportowaną. [przypis autora opracowania]

wykonał normę – 800 gramów chleba. Dozorował nas brygadier, który ciągle zapędzał nas do pracy i nie pozwalał odetchnąć. Pracowaliśmy od ósmej rano do ósmej wieczorem. Bardzo często brygadier budził nas w nocy, w czasie mrozu. Kazał wstawać i ładować pnie do wagonów.

Po pewnym czasie pień drzewa spadł ojcu na nogę. Ojciec rozchorował się ciężko i kilka tygodni leżał w baraku, męcząc się okropnie. Pomocy lekarskiej nie było. Noga puchła coraz bardziej. Prosiliśmy, aby zabrano ojca do szpitala, ale na prośby nasze nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Gdy stan ojca stawał się coraz groźniejszy, postanowiliśmy urządzić strajk. Starsza siostra Złata, oświadczyła komendantowi pasiołka, że jeśli ojca nie zabiorą do szpitala, nie pójdziemy do roboty, choćby strzelano do nas. Nie poszliśmy do roboty. Przez dwa dni nie otrzymywaliśmy jedzenia. Komendant groził nam surową karą, ale nie daliśmy się zastraszyć. Na trzeci dzień zabrano ojca do szpitala.

Ojciec leżał sześć miesięcy w szpitalu. Bardzo rzadko otrzymywaliśmy od niego wiadomości. Na próżno błagaliśmy komendanta, aby pozwolił odwiedzić chorego. Komendant otwarcie nam powiedział, że stosuje takie środki, jako karę za nasz strajk. Byliśmy tak zrozpaczeni, że straciliśmy nadzieję ujrzeć ojca żywego, ale Bóg pomógł, ojciec wrócił ze szpitala zdrowy i wziął się do roboty.

Po sześciu tygodniach cała rodzina zachorowała na straszną chorobę, która nazywa się cynga. Nasza krew zmieniła się w materię. Całe ciało podobne było do otwartej rany. Brakowało organizmowi tłuszczu i witamin. Nie można było tego otrzymać. Cierpieliśmy okrutnie. Po prostu odpadały kawały ciała. Po kilku tygodniach choroba dojrzała. W pierwszym okresie mieliśmy jeszcze trochę pieniędzy i dokupowaliśmy sobie jedzenie u kołchoźników, ale zapasy wyczerpały się i zaczęliśmy sprzedawać odzież, aby kupić mleka, które nas ratowało od choroby. Przez czas pewien otrzymywaliśmy także paczki od krewnych z Białorusi i to nam ratowało życie, ale przesyłanie paczek ustało. Byliśmy głodni i obdarci. Nie przywiązywaliśmy większej wagi do życia.

### ARESZTOWANIE SIOSTRY

Jak zaznaczyłam, siostra moja Złata, była organizatorką naszego rodzinnego strajku. Strajk wprawdzie wygraliśmy i ojca wzięto do szpitala, ale nie obyło się bez kary. Komendant wprawdzie by nam wybaczył, ale inni zaczęli nas naśladować i zaczęła się seria strajków w naszym pasiołku. Ktokolwiek miał jakieś pretensje, reagował na to strajkiem, a komendant podejrzewał moją siostrę, że ona te strajki organizuje.

Pewnego razu o trzeciej w nocy obudzono siostrę i oświadczone jej, że jest aresztowana. Osadzono ją w karczerze, małej ciemnej komórce, gdzie oprócz ławki nie było nic innego. Karcer roił się od robactwa i myszy. Nie dawano jej jedzenia. Siedziała tak całą dobę. W dzień posyłano ją do roboty do lasu, a po powrocie z pracy trzymano w karczerze. Z normy, którą wypracowała, obliczano jej tylko 25%.

Tak trwało dwa miesiące, aż zachorowała na tyfus. Dopiero wtedy pozwolono ją zabrać do baraku. Zaraziliśmy się wszyscy, ale nie chciano nas zabrać do szpitala – wciąż za to samo przewinienie. Sąsiedzi nasi uciekli z baraku w obawie przed zarazą. Wszyscy wyzdrowieliśmy, ale matka od tego czasu zaczęła płuć krwią. Bolało ją serce. Czuliśmy, że długo nie wytrzyma. Jeszcze półtora roku spędziliśmy w pasiołku, a potem posłano nas do innego miejsca.

Było tam dużo Polaków, którzy odnosili się do nas bardzo życzliwie. Pomagali nam się urządzić i dawali pożyteczne rady. Komendantem pasiołka był Rosjanin, wróg Polski i on maltretował Polaków. Obrażał ich, drażnił się z nimi, powtarzał wiele razy dziennie, że Polski nie będzie i oni na zawsze w Rosji zostaną. Na zebrania, na których wszyscy musieli być obecni, bo przychodziło się słuchać komendanta, nie wolno było się na nic skarżyć. W Śądny Dzień 1940 Żydzi postanowili nie pójść do pracy i spędzić czas na modlitwie.<sup>6</sup> Komendant sprowadził agentów NKWD, którzy chcieli nas aresztować. Potem przyjęli jednak delegację, którą przeprosili. Kosztowało nas to trzy męskie garnitury: dwa dla agentów, jeden dla komisarza.

## WYBUCH WOJNY

Zaraz po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 roku zjawiała się komisja z kierownikiem NKWD, która nam oświadczyła, że jesteśmy od dziś aliantami i powinniśmy pracować jeszcze gorliwiej dla wspólnej sprawy. W pierwszym okresie nie zauważyliśmy żadnej zmiany w stosunku do nas. Pracowaliśmy dalej ciężko, otrzymywaliśmy skąpe porcje jedzenia, tyle tylko, że mniej nas obrażano i życzliwiej obchodzono się z nami w czasie pracy.

Dopiero po ogłoszeniu amnestii przyjechała komisja polska, która nas wzięła pod swoją opiekę. Sprowadzono żywność i odzież, z której korzystali tylko Polacy. Żydom nic nie dawano. Potem powiedziano nam, że wszystkich

---

<sup>6</sup> Najświętszy dzień judaizmu. Zgodnie z wierzeniami, w czasie Śądnego Dnia dokonuje się sąd i wydawany jest wyrok dla każdego człowieka na nadchodzący rok. W roku 1940 święto to obchodzono w pierwszej połowie października. [przypis autora opracowania]

obywateli polskich posyła się do Kazachstanu. Dostaliśmy skierowania do Uralska, ale posłano nas do Buchary. Załadowano nas do wagonów i posłano w drogę.

Podróż z Archangielska do Buchary trwała siedem tygodni, ale czuliśmy się dobrze w czasie tej podróży. Ilekroć pociąg stawał na dworcu, nasi towarzysze podróży biegli do innych wagonów i zawsze wracali z łupem: mąką, cukrem, mięsem i konserwami. Rzucaliśmy się na te produkty jak szaleńcy, bo przez dwa lata nic podobnego nie jedliśmy. Bolszewicy zauważyli, jak się odżywiamy, robili rewizje w wagonie, ale wszystkie zapasy znajdowały się już w naszych żołądkach. Jednego Polaka aresztowano za to, że znaleziono przy nim trochę cukru. W rezultacie zawiadomiono wszystkie stacje, aby miały się na baczności, bo nadjeżdża pociąg z przestępcami.

W Bucharze kazano nam pójść pracować do kołchozu, ale my wiedzieliśmy, czym to grozi. Prosimy Polską Delegaturę o radę, kazano nam oficjalnie starać się o wyjazd, ale faktycznie unikać kołchozu. Nie chcieliśmy się zameldować i dlatego nocowaliśmy na dworcu, bo nikt nas w mieście nie chciał przyjąć do mieszkania.

Pewnej nocy Uzbegy zabrali nas siłą na kołchoz „Janke Tarmasz”, który leżał niedaleko od Buchary. Na początku, za pracę otrzymywaliśmy dziennie 400 gramów mąki, a potem nic nam nie dawali. Żywiliśmy się trawą i korzonkami. Mieszkaliśmy w glinianej chatce i spaliśmy na gołej ziemi. Tak przemęczyliśmy się trzy tygodnie. Przewodniczący kołchozu, widząc, jak się męczymy, dał nam przepustkę do Buchary. W Bucharze sytuacja była jeszcze gorsza niż przedtem. Oprócz uchodźców Polaków napływały tu masy uchodźców z całej Rosji z ewakuowanych rosyjskich miast. Ludzie leżeli na ulicach. Poszliśmy do Ewaku punktu i poprosiliśmy o komandirówkę na kołchoz. Posłano nas do kołchozu „Mołotow nr 1”. Nie było dla nas tam miejsca. Poszliśmy do kołchozu „Mołotow nr 2”. I tam nie chcieli nas wpuścić.

W ten sposób tułaliśmy się od kołchozu do kołchozu i wszędzie otrzymywaliśmy tę samą odpowiedź. Jest praca, nie ma noclegu. Trzykrotnie wracaliśmy do kołchozu „Mołotow” i wreszcie wróciliśmy do Buchary, postanawiając zostać w mieście. Po wielu tygodniach męki udało nam się znaleźć „mieszkanie” w starej i zawałonej stajni, za którą zapłaciliśmy odstępną i 60 rubli miesięcznie. Cierpieliśmy wiele od właściciela stajni i od jego synka, zwykłego złodzieja. Pewnego dnia ukradł ojcu płaszcz, a kiedy ojciec zażądał

zwrotu, pobił go mocno. Ojciec poszedł do NKWD na skargę. Śledztwo trwało miesiące. Kilka razy wołano ojca na badanie. Po pierwszym badaniu złodziej zwrócił palto.

### PROWADZIMY HANDEL

Nie mieliśmy z czego żyć i postanowiliśmy zająć się handlem, chociaż groziła za to surowa kara. Nie było innej rady. Handlowaliśmy artykułami spożywczymi: chlebem, ryżem, cukrem i mąką. Kupowali produkty starsi członkowie rodzin, a my dzieci je sprzedawaliśmy. Ojciec miał znajomego magazyniera w dużej kooperatywie, który mu wydawał kilkadziesiąt kilo chleba dziennie. Płaciliśmy za chleb 30 rubli za kilo, podczas gdy oficjalna cena wynosiła 10,5. Sprzedawaliśmy chleb po 35 do 40 rubli za kilo. Chleb był głównym artykułem handlu, ale magazynier zapoznał nas z innym magazynierem, który nam dostarczał: ryżu, cukru, mięsa, czarnej mąki i białej mąki.

Zarabiało się nieźle. Nieraz zdarzały się „wpadunki”. Mnie samą aresztowano chyba 10 razy, podczas gdy: nosiłam towar, w tramwaju i w kinie gdzie odbywał się handel. W cyrkule bito mnie, trzymano w ciągu dnia, raz czy dwa razy skonfiskowano towar. Chcieli wyciągnąć ode mnie, kto mi dostarcza towar. Pomimo bicia nie wydałam swojego adresu i ukryłam fakt, że mam rodziców. Ponieważ wygląd miałam chorobliwy i wyglądałam na 7 lub 8-letnie dziecko, puszczono mnie wolno.

Sytuacja w mieście stawała się coraz gorsza. Napływ uchodźców powiększał się. Uciekano z kolchozów masowo do miasta. Ludzie leżeli na ulicy w rynsztokach. Deptało się po ludziach jak po robactwie. Na ulicy ludzie umierali z głodu, ale nikt na to nie zwracał uwagi i nawet nie urządzano im pogrzebów. Trupy wrzucano do skrzyń ze śmieciami. Panowały straszliwe epidemie: dyzenteria, malaria, tyfus brzuszny i plamisty. W szpitalach nie było miejsca. Lekarstw nie można było dostać nawet za pieniądze. Przychodził wprawdzie lekarz z Polskiej Delegatury, ale był bezsilny wobec braku lekarstw. Najstraszniejsza była epidemia dyzenterii, którą lekarze uznawali za skutek spożywania placków z makuchu. W mieście były dwie duże olejarnie, produkujące olej dla wojska. Cywilna ludność z wytłoczyn piekła placki. W naszym mieście jadły to krowy. Płaciliśmy po 2-3 ruble za placek.



## NASZE OFIARY

Pierwszą ofiarą był mój 10-letni brat Sender. Zachorował na dyzenterię. Leżał w domu. Po ośmiu dniach zabrano go do szpitala, gdzie umarł. Za dużą sumę pieniędzy wydostaliśmy ciało nieboszczyka i pochowaliśmy go na żydowskim cmentarzu. Po trzech tygodniach na dyzenterię zachorowała matka. Udało nam się umieścić ją w szpitalu. Po jednym dniu zmarła. Chcieliśmy matkę pochować, ale oświadczone nam, że ciało zostało pogrzebane w nocy w niewiadomym miejscu.

## W DOMU SIEROT

Po śmierci matki, ojciec wszczął starania, aby mnie i mego brata przyjęto do Polskiego Domu Sierot. Po długich staraniach dostałam się wraz z bratem do Polskiego Domu Sierot. Ojciec i dwie siostry mieszkały w mieście, więcej nie widzieliśmy ani ojca, ani sióstr, bo po dwóch tygodniach wyjechaliśmy do Persji. Nie zapomnę nigdy tych dwóch tygodni spędzonych w domu sierot. Cierpieliśmy bardzo od dzieci polskich, które wciąż krzyczały: „Żydzi do Palestyny”. Gęstą zupę dostawały tylko dzieci polskie, a nam dawano trochę wodzianki. Byliśmy stale głodni i chociaż komisja zaleciła nam specjalne odżywianie, nic nie dawano nam do jedzenia.

Z Buchary pojechaliśmy do Krasnowodzka i stamtąd do Pahlawi. Tam badała nas komisja angielskich lekarzy, z których jeden, widząc mnie, zawołał: „Kogo nam przysłaliście? Trupy czy dzieci?”. Odesłano mnie do angielskiego szpitala na terapię tuczącą. Tam wróciłam do zdrowia. Wysłano mnie do Teheranu, gdzie mieszkałam w „Obozie nr 1”, razem z polskimi dziećmi. Potem dostałam się do Żydowskiego Domu Sierot pod opiekę Sochnutu<sup>7</sup>.

Karmiono mnie dobrze, ale byliśmy obdarci. Nadchodziły transporty odzieży z Ameryki i Indii, które dzielono między Polaków. Gorsze rzeczy oddawane były Żydom. Z tych gorszych rzeczy personel sierocińca wybierał co najlepsze dla siebie, a dzieciom zostawiał szmaty. Przez cały czas pobytu w Teheranie nosiłam nocną koszulę. Błagałam, żeby mi dano tumana<sup>8</sup> na wysyłkę listu do ojca. Zabierali moje listy i przyrzekali, że je wyślą. Odpowiedzi jednak nie dostałam. Inne dzieci, które dostawały pieniądze z Ameryki i polskie dzieci, którym dawano znaczki, otrzymywały odpowiedzi od swoich krewnych w Rosji.

<sup>7</sup> Organizacja syjonistyczna, wspierająca imigrację Żydów do Palestyny. [przypis autora opracowania]

<sup>8</sup> Także „toman” – pieniądz irański, obecnie nieoficjalny odpowiednik dziesięciu riali. [przypis autora opracowania]

Osiem miesięcy spędziłam w Teheranie, potem pojechałam do Karaczi, skąd odbyłam długą i męczącą podróż do Palestyny.

## PROTOKÓŁ NR 140

Zeznania Jakuba Piwko, lat 12, syna Berisza i Hindy z Broku nad Bugiem.

Przybył do Palestyny przez Rosję i Teheran w sierpniu 1943 r.

Było nas w domu czworo rodzeństwa, a tylko ja sam przyjechałem do Palestyny. Jeden brat został w Rosji, a drugi pojechał do Japonii i znajduje się w Szanghaju. Ojciec mój miał sklepik, mieszkaliśmy we własnym domku i żyło nam się nieźle.

W dzień wybuchu wojny wylepiono na ulicy zawiadomienie, że Niemcy napadli na Polskę. W miasteczku powstała panika, ludzie zaczęli uciekać, ale ojciec nie chciał opuszczać domu. Wieczorem, kiedy szliśmy modlić się do bóżnicy, znajomy chłop polski opowiadał nam, że Niemcy są już niedaleko. Ludzie uciekali, dokąd ich oczy poniosły.

Niemcy rozpoczęli bombardowanie miasteczka, wybuchły pożary i wszystkie domy się spaliły. Zanim Niemcy weszli do naszego miasteczka, Polacy zerwali most na Bugu. Pod miastem toczyła się bitwa, wiele kul raniło ludzi na ulicach. Przedwieczorem bitwa ustała i Niemcy zjawili się w mieście.

Od razy wydali rozkaz, że wszyscy Żydzi muszą się zebrać w kościele. Przybyli młodzi i starzy. Starzy mieli w rękach Tory. Niemcy zamknęli kościół i oświadczyli nam, że spalą wszystkich Żydów, razem z kościołem. Przeżyliśmy straszną noc. Krzyki zamkniętych sięgały pod niebiosa.

Nazajutrz niemiecki oficer wypuścił wszystkich z kościoła. Młodych zabrano do roboty. Starszych i dzieci puszczono wolno. Ojciec został puszczony na wolność, a ponieważ nasz dom nie był spalony, zebrało się u nas dużo Żydów z rabinem na czele, bo wszyscy bali się wychodzić na ulicę, gdzie Niemcy wrywali brody i bili. Stale wchodzili do nas niemieccy żołnierze, zabierali różne rzeczy, a resztę niszczyli. Pewnego dnia przyszli po kilka kilo maki i rozsypali cały worek. Nasz dom pozostał niespalony na całej ulicy. W nocy Niemcy podpálili go i ledwo uciekliśmy cali.

Udaliśmy się do znajomego Polaka i przenocowaliśmy w jego komórce. Po spaleniu naszego domu pozostał w mieście jedyny żydowski domek, należący

do rzezaka Szmula. W jego domu zbierali się Żydzi. Pewnej nocy zapukali do niego Niemcy. Nie otworzono im od razu, bo dużo ludzi spało na podłodze i trudno było dostać się do drzwi. Niemcy grozili, że jeżeli nie otworzy się natychmiast, powystrzelają wszystkich. Kiedy otworzono drzwi, strzelili od razu i pewien Żyd, nazwiskiem Kaprański, został zabity na miejscu. Niemcy dokonali rewizji w mieszkaniu i zabrali wszystko, co miało jakąś wartość. Potem rozdzielili kobiety od mężczyzn. Mężczyzn zaprowadzili na rynek i zabili, między zabitymi znajdował się mój ojciec.

Rabin z dwojgiem dzieci oraz rzezak, ukryli się i nocą wykradli się z miasteczka, udając się w kierunku Ostrowi. Po drodze spotkali niemieckie auto. Wysiedli z niego dwaj Niemcy i zaczęli do nich strzelać. Rzezak padł martwy, a rabin został ranny. Potem Niemcy odjechali, zostawiając zabitego rzezaka i rannego rabina na drodze. Ostatnim wysiłkiem rabin dostał się do Ostrowi, przeszedł na rosyjską stronę, dostał się do Wilna, a dziś znajduje się w Ameryce.

Po śmierci ojca zostałem sam z matką. Moi bracia uciekli wcześniej. Znajomy wieśniak przewiózł nas na drugą stronę rzeki. Dostaliśmy się do żydowskiego dziedzica Czezinera, który był znajomym ojca. Przyjął nas gościnnie, zostaliśmy u niego przez kilka dni. Chcieliśmy pojechać do Kosowa, bo tam znajdował się mój brat. Tymczasem bolszewicy weszli do Broku, wróciliśmy więc do domu i zaczęliśmy szukać naszych rzeczy, bo uciekaliśmy z miasteczka prawie nago.

Tylko cztery dni pozostali bolszewicy w Broku.<sup>9</sup> Zanim wyszli, oświadczyli, że kto chce, może z nimi pojechać. Pojechaliśmy do Kosowa, gdzie mieszkał mój najstarszy, żonaty brat. Potem przyjechał brat z jeszybotu<sup>10</sup> i namówił nas, byśmy jechali do Wilna, bo nawet wojna szybko się skończy.

Obaj bracia pracowali w tartaku i zarabiali dobrze, ale młodszy nie chciał z nami pozostać i pojechał do Wilna. Zostaliśmy sami i bardzo się męczyliśmy. Starszy brat musiał oprócz swojej rodziny, utrzymywać mamę i mnie. Mama usiłowała zajmować się handlem, ale szło jej trudno i grożono jej, że ją zamkną w więzieniu. Było nam tak źle, że kiedy ogłoszono rejestrację, mama moja rejestrowała się na powrót do domu.

<sup>9</sup> Nie natrafiłem na informację o wejściu do Broku we wrześniu 1939 r. armii sowieckiej. [przypis autora opracowania]

<sup>10</sup> Ortodoksyjna uczelnia rabinacka.

Pewnego dnia w nocy, przybiegł do nas nasz brat z tartaku i oświadczył, że tej nocy wszystkich uchodźców przewiozą do Białegostoku i chce nam pomóc przy pakowaniu rzeczy. Istotnie, przyjechali tej nocy enkawudziści i zawieźli nas do tartaku, gdzie zebrali się uchodźcy. Załadowano nas po 50 osób do towarowego wagonu i ruszyliśmy w drogę. Przypuszczaliśmy wszyscy, że jedziemy do domu, ale po pewnym czasie zrozumieliśmy, że zostaliśmy zesłani do Rosji.

Dostawaliśmy do jedzenia, raz dziennie kawałek chleba i trochę wodnistej zupy. Ścisk w wagonie panował straszliwy, nie było nocy, aby nie cucić zemdlonych. Nie było także ubikacji. Dzieci załatwiała się przez okno, a starszych wypuszczano pod konwojem na stacjach.

Podróż trwała trzy tygodnie, aż przybyliśmy do Archangielska. Miano nas stąd wysłać od razu na pasiołek. Spędziliśmy kilka dni pod gołym niebem, jedząc rybki, które piekliśmy na ogniu. Był tam tani cukier, który kupiliśmy. O świcie, któregoś dnia, załadowano nas na statek, jechaliśmy kilka dni, a potem wysiedliśmy na brzeg.

Doszlśmy pieszo do pasiołka. Mieszkaliśmy w baraku pełnym pluskiew. Komary gryzły nas w straszny sposób. Matka pracowała w cegielni i dostawała 800 gramów chleba, a my dzieci po 400. Matka źle się czuła, myśmy prowadzili gospodarstwo, dbając o to, aby mama po powrocie z pracy miała trochę ciepłej zupy. Cały dzień śpiewaliśmy piosenkę, która zaczynała się od słów: „Gołodno, gołodno, dom daleko”.

Pewnego dnia przybył do pasiołka komendant, a mama poskarżyła mu się, że jest słaba i nie może pracować. Po kilku dniach przyszedł rozkaz i zostaliśmy przeniesieni do innego pasiołka. Tam znajdowały się surowe domki i dostaliśmy pokój z kuchnią. Była tam także stołówka. W ciągu pierwszych dni dostawaliśmy darmo zupę, potem płaciliśmy za zupę 2,5 rubla. Na taki luksus nie mogliśmy sobie pozwolić. Żyliśmy suchym chlebem i gorącą wodą. Mama pracowała w lesie wraz z bratem, a ja zajmowałem się gospodarstwem.

W tym pasiołku spędziliśmy cały rok do wybuchu wojny. Naczalstwo i wszyscy młodzi mężczyźni poszli na front. Zjawił się inny naczelnik, stary Rosjanin z długą brodą, który był dobry dla nas. Pracowało się przy kopaniu okopów. Racje chleba zostały zmniejszone.

Pewnego dnia zawiadomiono nas, że jesteśmy wolni. Pojechaliśmy do Samarkandy. Podróż trwała dwa miesiące. Po drodze, w różnych

miejsowościach dostawaliśmy tanio owoce, a byliśmy tak ich spragnieni, że każdy z nas zjadał 10 kilogramów owoców dziennie. Zachorowaliśmy na dyzenterię. Kilku ludzi z naszej grupy zmarło po drodze, ale my przybyliśmy do Samarkandy zdrowi. Nie mogliśmy znaleźć noclegu i spędziliśmy miesiąc na ulicy.

Pojechaliśmy do kołchozu „Woroszyłow”. Był to kołchoz uzbecki. Mama była tak osłabiona, że nie mogła pracować. Ja i brat pracowaliśmy przy zbiorze waty. Dostawaliśmy po 400 gramów mąki dziennie, co potem zmniejszono do 200 gramów. Byliśmy okropnie wygłodzeni i jedliśmy dzikie zioła, od których się chorowało. Postanowiliśmy uciec z kołchozu.

Słyszeliśmy, że w Dżambulu organizuje się obywateli polskich wyjeżdżających do Persji. Sprzedaliśmy trochę rzeczy i dotarliśmy do Dżambulu. Okazało się, że to nieprawda. Wałęsaliśmy się po ulicach i znów musieliśmy pójść do kołchozu „Uzbek”. Pracowaliśmy ciężko i bylibyśmy z głodu umarli, gdybym się nie nauczył kraść i nie kradł codziennie garstki żyta dla mamy. Wiedziałem, że kraść nie wolno, ale nie mogłem się powstrzymać na widok mąki.

Po roku, kiedy znów usłyszeliśmy, że Polacy wyjeżdżają do Persji, udaliśmy się do Samarkandy. Przybyliśmy w dzień deszczowy i śnieżny i nocowaliśmy w błocie. Jeden drugiemu wrywał trochę rzeczy. Okradli nas z ostatniej koszuli, a matka strasznie z tego powodu rozpaczała. Udało się jej umieścić mnie w polskiej ochronce, a sama wyjechała z bratem na kołchoz.

Spędziłem rok w ochronce. Polskie dzieci bardzo nam dokuczały. Zmuszano nas do odmawiania pacierza, a kto nie chciał, tego bito. W tym czasie zachorowałem na tyfus i na zapalenie płuc. Kilka miesięcy spędziłem w szpitalu, tymczasem mama opuściła kołchoz i mieszkała w Samarkandzie w stajni, aby móc mnie odwiedzać.

Opuściłem Rosję ostatnim transportem dzieci i udałem się do Teheranu. W Teheranie byłem sześć miesięcy i wraz ze 108 dziećmi przybyłem do Palestyny.

## PROTOKÓŁ NR 185

Zeznania Uziela Zawa, lat 17, syna Leibla i Racheli z Wyszkowa. Przybył do Palestyny przez Rosję i Teheran w sierpniu 1943 r.

Zaraz po wybuchu wojny Niemcy zbombardowali nasze miasto. Wielu było rannych, domy płonęły. Mężczyźni, kobiety i dzieci wyskakiwali z okien. W mieście panowała panika. Ludzie biegali z jednego krańca na drugi, z domu, do domu. W następną sobotę po wybuchu wojny Niemcy zajęli Wyszków. Żydzi na widok pierwszych niemieckich patroli ukryli się i bali się wychodzić na ulicę, lecz ojciec mój, szewc z zawodu, pracował dalej przy warsztacie.

Tymczasem Niemcy zaczęli chwytąć ludzi do roboty, używając ich do oczyszczania miasta z gruzów. W czasie roboty bito Żydów, kazano im śpiewać i tańczyć. Bito ich i obrażano. Co dzień ruszali Niemcy na dzielnicę żydowską, wpadali do mieszkań, rabowali wszystko, co było pod ręką. Widząc ojca przy pracy, nie robili nam nic złego i nie wyciągali go do roboty na miasto.

Pewnej soboty rozpoczęły się rewizje we wszystkich mieszkaniach, wyprowadzono prawie wszystkie kobiety i dzieci na pole, a kiedy Niemcy zjawili się w naszym mieszkaniu, ukryłem się w piwnicy, która znajdowała się w naszej kuchni. Leżąc w piwnicy, słyszałem płacz matki i płacz moich braci, Szymona i Heńka. Matka prosiła Niemców, aby nas puścili wolno, bo jesteśmy biedacy i nic nie możemy im dać. Wyprowadzono ojca i moich dwóch braci. Zostałem nadal w piwnicy. Drżałem ze strachu na myśl o losie swojej rodziny. Bałem się o nich, lecz równocześnie bałem się także ruszyć z miejsca. Leżałem w piwnicy, czekając na śmierć. W tej samej chwili do naszego mieszkania weszli niemieccy żołnierze. Zaczęli szukać czy nikt się nie ukrył. Otworzyli piwnicę. Dwaj zeszli na dół i znaleźli mnie. Wściekli, że się ukryłem, zaczęli okładać mnie kolbami karabinów. Wyrzucili mnie do kuchni i straciłem przytomność.

Zaczęli mnie kopać ciężkimi, żołnierskimi butami. Nie mogłem ruszyć się z miejsca. Wyciągnęli mnie na ulicę. Zostałem tam 30 Żydów, których Niemcy znaleźli w rozmaitych skrytkach. Było tam kilku starych Żydów. Wzięto mnie pod rękę i wyprowadzono na plac pod miastem. Staliśmy tam kilka godzin. Nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca, musieliśmy stać na baczność. Przez cały czas trzymali mnie Żydzi pod rękę, bo nie mogłem ustać na nogach. Potem zjawilo się auto ciężarowe z karabinem maszynowym. Zaczęto strzelać w naszym kierunku. Wszyscy padli na ziemię, jak padnięte drzewa, także i ja

padłem. Nie wiedziałem, czy żyję i leżałem nieruchomo przez dwie godziny, pomiędzy martwymi ciałami zabitych Żydów.

Kiedy ściemniło się, poczułem, że ktoś mnie trąca. Przestraszyłem się, chciałem krzyknąć, ale nie mogłem, gdyż strach zaciskał mi gardło. Otworzyłem oczy i ujrzałem mego znajomego, niejakiego Szańskiego, którego widziałem w grupie 30 Żydów. Widząc, że żyję, podniósł mnie i poszliśmy do lasu. Opowiedział mi, że słysząc pierwszy strzał, rzucił się na ziemię, udając martwego. A kiedy noc zapadła podchodził do każdego zabitego, myśląc, że może znajdzie kogoś, kto jest tylko ranny. Niestety, tylko my we dwoje zostaliśmy przy życiu.

Noc była ciemna, jeden nie widział drugiego, zgubiłem swego wybawiciela w lesie. Bałem się głośno krzyczeć, aby mnie Niemcy nie usłyszeli. Byłem sam w lesie. Nie miałem siły chodzić, położyłem się na trawie i usnąłem. Wstałem o świcie. Powlokłem się pieszo do najbliższej wsi. Pierwszych ludzi jakich napotkałem, rozpoznałem jako żołnierzy niemieckich. Poszczuli na mnie swego psa. Pies ugryzł mnie w łydkę. Widząc jak krew cieknie z mojej nogi, Niemcy roześmiali się i poszli dalej.

Zakleiliśmy błotem ranę, chcąc zatamować krew i ruszyłem dalej do wsi Wilka. Mieszkało tam 10 żydowskich rodzin. Jeden z Żydów wziął mnie do siebie. Umyto mnie, nakarmiono, zabandażowano ranę. Po kilku dniach wróciłem do siebie i mój gospodarz poradził mi, abym zostałem u niego. Zostałem pastuchem. Nie mogłem jednak usiedzieć na miejscu, nie wiedząc nic o losie najbliższych. Ruszyłem w drogę w kierunku Pułtusku. W Pułtusku most został wysadzony w powietrze. Nie mogłem zbliżyć się do miasta.

Pewna kobieta zabrała mnie ze sobą w łódce. Przenocowałem tam i nazajutrz ruszyłem w kierunku Wyszkowa, aby się dowiedzieć, co się stało z moją rodziną. Jakież było moje szczęście, kiedy po drodze spotkałem moją mamę i dwóch braci. Rozplakaliśmy się z radości.

Mama opowiadała, iż Niemcy zebrali wszystkich Żydów z miasteczka i wyprowadzili ich na pole. Kazano im przykucnąć na polu i w takiej pozycji pozostali całą noc i cały dzień. Nikomu nie wolno było ruszyć się z miejsca. Nogi mieli spuchnięte. Niemcy nie pozwalali nikomu ruszyć się z miejsca, nawet dla dokonania pierwszej potrzeby. Pomiedzy szeregami ofiar kręcili się Niemcy, strasząc ich, że zaraz nadjedzie broń, z której ich powystrzelają.

Nazajutrz rano wyszedł rozkaz, aby wszyscy stanęli na nogach. Po 24 godzinach nogi zdrętwiały. Niemcy bili ludzi kolbami po głowach i krew płynęła jak woda. Krzyki sięgały pod niebiosa. Po kilku godzinach stania zaczęto gnać ludzi przed siebie, a kto nie biegał dość szybko, tego zabijano na miejscu.

Po kilku godzinach przybyli do pewnej wsi. Było już ciemno, kiedy kazano znów przykucnąć im na całą noc. Nazajutrz, znów zaczęło się poganianie do pochodu. Ta piekielna wędrówka trwała cztery dni. Codziennie ubywało ludzi. Niemcy zabijali kobiety, dzieci i starców. Na piąty dzień Niemcy oddzielili mężczyzn od kobiet. Mężczyzn, między innymi mego ojca, załadowano na auto i zawieziono w niewiadomym kierunku. Dzieci i kobiety pognano z powrotem do domu.

Mama ledwo żywa i moi dwaj bracia szli dwa dni, nim dostali się do Wyszkowa. W domu już nic nie zastali. Wszystko było zrabowane i połamane, udaliśmy się więc do Pułtusk<sup>11</sup>, chcąc przedostać się na stronę rosyjską. Co do mnie, mama była pewna, że mnie Niemcy zabili. W Pułtusku spędziliśmy dwa dni, bo Niemcy wyganiaли wszystkich Żydów z miasta. Ponieważ przez uszkodzony most nie wszyscy mogli się przedostać, Niemcy rzucali Żydów do wody. Przeszliśmy szczęśliwie rzekę, a potem kolejną dostaliśmy się do Białegostoku.

Nie znaleźliśmy dachu nad głową i nocowaliśmy w synagodze, a mama zabrała się do handlu. Dostałem pracę w kuchni, przy zmywaniu statków i w ten sposób pomagałem matce. Matka nie chciała przyjąć sowieckiego obywatelstwa, bo miała nadzieję, że wróci i odnajdzie ojca. Pewnego dnia w nocy zjawili się w bóżnicy enkawudziści, kazali wszystkim pakować rzeczy i odprowadzili nas na dworzec. Załadowano nas do wagonów towarowych, po 40 osób w wagonie i ruszyliśmy w długą podróż, która trwała miesiącami.

Zajechaliśmy do archangielskiej obłasti. Po wyjściu z pociągu zaprowadzono nas na pasiołek. Szliśmy przez kilka godzin pieszo. Mieszkaliśmy w barakach w środku lasu. Wszyscy musieli pracować, nawet ja i mój najmłodszy brat Szymon. Co kilka tygodni powiększano normę. Dostawaliśmy 400 gramów chleba dziennie, a z nędznych zarobków nie można było nawet dokupić sobie zupy. Wielu ludzi chorowało i umierało z głodu. Opuszczały nas siły. Nie wierzyliśmy, że wytrzymamy.

---

<sup>11</sup> To z pewnością pomyłka. Miastem, w którym autor relacji przekroczył granicę między strefami okupacyjnymi, nie mógł być Pułtusk. [przypis autora opracowania]



Po ogłoszeniu amnestii ruszyliśmy do Turkiestanu, przepelnionego uchodźcami. Było tam dużo ewakuowanych Rosjan. Ludzie mieszkali na ulicy. Mama wyjechała z nami na kołchoz. Pracowaliśmy tam ciężko, za co dostawaliśmy garść mąki dziennie. Mama piekła z niej placki i gotowała zupy. Uciekliśmy z kołchozu. Zachorowaliśmy na tyfus i po kilku tygodniach pobytu w szpitalu wróciliśmy do zdrowia. Mama została w szpitalu, chora na malarię. Mieszkaliśmy w czajchanie<sup>12</sup> i jedliśmy korzonki traw. Mama po wyzdrowieniu umieściła nas w polskim domu sierot. Przyjęto tylko dwóch braci. Nie chciałem opuścić mamy, ale byłem tylko ciężarem dla niej. I ja w końcu zostałem przyjęty do sierocińca.

Wysłano nas do Teheranu i wraz z rodzeństwem przybyłem do Palestyny. Nie wiem, co się stało z moją mamą.

## PRZEKRACZANIE GRANICY POMIĘDZY STREFAMI OKUPACYJNYMI

### PROTOKÓŁ NR 58 [fragment]

Zeznania Dawida Zylkiewicza, Warszawa ul. Zamenhofa nr 12, urodz. w r. 1915, jazzbandzista w kawiarni Adria w Warszawie. Przyjechał do Palestyny z Rosji przez Teheran.

### NIEMIECKIE PROWOKACJE W WĘGROWIE I SOKOŁOWIE

Po drodze do Węgrowa przechodziłem przez las. W lesie grasowała szajka bandytów, która napadała i obrabowywała przechodniów. Widocznie zrobiłem na nich wrażenie biednego chłopca, bo przepuścili mnie wolno i w ten sposób dostałem się do Węgrowa. Tego samego dnia Niemcy wydali rozporządzenie, że strzelać będą do każdego Żyda i Polaka, których spotkają na ulicy razem i że za każdy akt spółki polsko-żydowskiej grozi kara śmierci. Niemcy dowiedzieli się bowiem, że Żydzi i Polacy popierają się wzajemnie.

Aby wywołać nienawiść do Żydów, Niemcy wpadli na pomysł podłej prowokacji. Zmusili grupę Żydów, aby poszła do kościoła i zanieczyściła ołtarz. Potem kazali Polakom nieczystości te wynosić, przy czym oświadczyli, że Żydzi

---

<sup>12</sup> W herbaciarni.

dopuszcili się bluźnierstwa. To samo uczynili w Wielkiej Synagodze, zmuszając Polaków, by ją zanieczyścili i Żydów, by nieczystości wynosili.

Kiedy przejeżdżałem przez Sokołów na cztery dni przed Pesachem<sup>13</sup>, nie znalazłem tam ani jednego Żyda na ulicy. Przejeżdżałem z ostatnim żydowskim dorożkarzem przez Rybki i on to mi opowiadał o okropnościach, jakie przeżyli Żydzi w czasie ostatnich kilku dni. Niemcy zabili dziecko chrześcijańskie i podrzucili na cmentarzu żydowskim. Potem żandarmeria niemiecka prowadziła dochodzenie, z którego wynikało, że dziecko zostało zabite przez Żydów. Żydzi sokołowscy i prezes gminy Morgenstern chcieli się skomunikować z księdzem i uprzedzić go o niemieckiej reżyserii rytualnego mordu, ale Niemcy aresztowali prezesa gminy wraz z rodziną. Bajki o mordzie rozpowszechniano skutecznie.

Moje osobiste przeżycia zaczęły się we wsi Rybki nad brzegiem Bugu. Niemcy, pomimo że sami chętnie szmuglowali pasażerów przez rzekę, uczyli polskich rybaków, aby brali bardzo wysokie stawki za przewóz. Byłem na to przygotowany. Dlatego zamiast na drugą stronę rzeki, wpadłem w ręce żandarma niemieckiego, który mnie zaprowadził do komendantury.

Puszczono mnie wolno, kiedy sprowadzono grupę dziewięciu Polaków z księdzem na czele. Kiedy zaczęła się rewizja dziewięciu Polaków, leżałem na półprzytomny na ziemi i czołgając się na brzuchu, wysuwałem się z izby, ale słyszałem, jak komendant krzychał zdenerwowany: „Polskie świnie, szmuglujecie bolszewików”.

Potem widziałem jak Niemcy, kazali w południe wsiąść na łódkę ośmiu Polakom i księdzu, po czym dali sygnał na stronę rosyjską i z obu stron rzeki rozpoczęła się strzelanina do łódki. Łódka się wywróciła. Nie wiem, co się dalej z nimi stało, bowiem uciekliśmy z przerażenia ja i jeszcze kilku Żydów, których nieomal czekał taki sam los. To jedno wiem, że chłopcy rybacy, którzy świetnie pływają, rzucili się na ratunek tonących Polaków. Słyszałem potem, jak chłopcy płakali, bo nie udało im się nikogo uratować.

Wieczorem, trzynastu Żydów, między nimi jedna kobieta i czworo dzieci, szliśmy na łódkę, tak jak się idzie na śmierć, ale nie mieliśmy innej rady. Po dziesięciu minutach byliśmy na drugiej stronie rzeki. Gdyśmy przybyli na granicę sowiecką, żołnierze z patrolu chwalili się, że wystrzelali w łódce dziewięciu szpiegów polskich.

<sup>13</sup> Święto obchodzone na pamiątkę wyzwolenia Izraelitów z niewoli egipskiej. Wypada w okolicach marca i kwietnia. [przypis autora opracowania]

## PROTOKÓŁ NR 138 [fragment]

Zeznania Rozenbluma Szymona, lat 42, mieszkańca Łodzi, malarza z zawodu.

Przybył do Palestyny przez Rosję i Teheran w sierpniu 1943 r.

Rano wsiedliśmy do autobusu, jadącego w kierunku Warszawy. Żona i dzieci przyszły pożegnać się ze mną. Pod Łowiczem zdjęliśmy opaski żydowskie i przedwieczorem przyjechaliśmy do Warszawy i zajechaliśmy do znajomego mego brata Wasfelda. O 5-tej nad ranem Niemcy otoczyli dom i zaczęli wyciągać Żydów do roboty. Ukryłem się w ubikacji i tylko dzięki temu, że w naszym sąsiedztwie mieszkały trzy ładne dziewczyny, z którymi Niemcy się zabawiali, nie dokonali dokładnej rewizji i ocalałem. O 7-ej nad ranem ruszyliśmy w kierunku stacji kolejowej i wyjechaliśmy do Małkini.

Tam Niemcy chwyтали wszystkich Żydów, którzy wysiadali z pociągu. Niektórym udało się uciec, lecz na każdym kroku spotykało się żołnierzy w towarzystwie psów, które szczuto na Żydów. Z ukrycia swego dostrzegłem, że Niemcy chwytają tylko pieszych, przepuszczając tylko tych, którzy jadą na furkach. Chciałem dostać się na furkę, lecz naraz dostrzegłem, że zgubiłem brata swojego i jego syna, więc wróciłem, odnalazłem go i ruszyłem z tłumem w kierunku granicy.

Niemcy zabierali nam wszystko w trakcie rewizji. Wyciągali z szeregów najpiękniejsze kobiety, kazali im się rozbierać do naga i bili je. Pewien chłopak ze strachu wdrapał się na drzewo, lecz Niemcy zaczęli trząść drzewem, aż chłopak spadł, a potem go pobili. W pasie granicznym zastałem ludzi, którzy mieszkali tu osiem dni. Granica była zamknięta. Po dwóch godzinach otworzono ją i przedostaliśmy się do wsi Zaręby Kościelne.

Było późno w nocy, a ponieważ znałem to miasteczko, odnalazłem znajomych, gdzie mogliśmy przenocować. Brat znów mi zginął. Wraz z innymi łodzianami, razem 15 osób zajęliśmy mały pokój i zdjęliśmy ze siebie odzież, przemoczoną od deszczu. Ludzie byli tak wygłodniali, że zaczęli szukać po ciemku czegoś do jedzenia i zjedli zawartość wiadra przeznaczonego dla krów. Zapaliliśmy lampkę i to ściągnęło uwagę enkawudzystów, którzy otoczyli nasz domek i odprowadzili nas do dworca kolejowego. Przybyliśmy do Czyżewa. Znaleźliśmy miasteczko w gruzach. Ani jednego ocalałego domu. Rano ruszyliśmy do Białegostoku.

## PROTOKÓŁ NR 182 [fragment]

Zeznania Heleny Wojtowskiej, lat 25, nauczycielki szkoły powszechnej w Płocku. Przybyła do Palestyny przez Rosję i Teheran.

Po wybuchu wojny z grupą moich przyjaciół udałam się do Warszawy i tam brałam czynny udział w obronie stolicy. Mój przyjaciel, Jan Wojtowski, chrześcijanin namawiał mnie, abym razem z nim przeszła na stronę sowiecką. Ruszyliśmy do Małkini, aby stamtąd przejść przez Bug. To coś tam przeżyli, wstrząsnęło mną do głębi.

Na tak zwanej ziemi niczyjej, znajdowało się około tysiąca ludzi, z tego 90% Żydów. Niemieccy żołnierze i agenci gestapo, co dzień przedwieczorem zjawiali się tam, odbierali ludziom wszystko, co mieli, tak że pozostawiali oni po prostu nago, gwałcili kobiety i dziewczęta w obecności mężczyzn i rodziców. Byliśmy świadkami straszego nieszczęścia. W naszej obecności Niemcy zastrzelili czterech mężczyzn i jedną kobietę. Powodem zastrzelenia było podejrzenie, że owe pięć osób zamierzało poskarżyć się na rabunek, wyższej władzy. Nie pozwolono pogrzebać zmarłych. Leżeli oni cztery dni i ich ciała się rozkładały. Jednakże Niemcy nie pozwalali ich pochować. W końcu zamordowanych rzucili do rzeki pod miasteczkiem Brok.

Po dwóch dniach przedostaliśmy się w nocy w grupie dwustu osób na stronę rosyjską i znaleźliśmy się w Swisłowiczach. Od razu dostałam robotę. Rysowałam plakaty i szkicowałam mapy. Mój przyjaciel Wojtowski i ja utrzymywaliśmy się za te pieniądze. Kilkakrotnie za pośrednictwem Polaków posyłałam rodzicom moim w Płocku pieniądze i listy. W odpowiedzi prosili mnie, abym przyjechała po nich i zabrała ich do Rosji. Kiedy otrzymałam list od matki, że rodzice chcą się ze mną zobaczyć, ruszyłam w drogę.

Jechałam tą samą drogą i niemało się nacierpiałam od Rosjan i Niemców. 18 grudnia przybyłam na pas graniczny. Mój przyjaciel, Jan Wojtowski doprowadził mnie do granicy. Odbywało się tam polowanie na Żydów. Mój przyjaciel wylegitymował się jako chrześcijanin. Ja nie miałam dokumentu, pobito mnie strasznie i wraz z tysiącem Żydów pognano do lasu. W mojej obecności niejaki p. Fleischer, nie mogąc patrzeć, jak Niemcy męczą kobiety, uderzył jednego Niemca w twarz. Został zastrzelony na miejscu. Dziesięć dni wałęsałam się w tak zwanym neutralnym pasie. Wreszcie dostałam się do wagonu. W Rembertowie wyskoczyłam z pociągu, bo Niemcy kontrolowali, czy nie ma Żydów. Złamałam wówczas nogę i leżałam kilka tygodni chora. Potem

ruszyłam do rodziców. Zamierzałam jechać statkiem do Płocka. Ponieważ już wówczas Niemcy nie pozwalali korzystać Żydom z komunikacji, postanowiłam wziąć ślub i zmienić paszport na aryjski. [...]

Chorzy, złamani fizycznie i psychicznie rodzice moi, nie mogli mi towarzyszyć. Pojechały ze mną dwie siostry. Trzecia została, aby pilnować chorych rodziców. Przechodziłyśmy granice znów w ten sposób co poprzednio. Wreszcie 2 maja 1940 r. przyjechałam do Swisłowicz. Od razu otrzymałam swoją robotę, ale nie poznałam swoich szefów. Nie byli to ci sami ludzie. Naraz stali się wrogami uchodźców.

#### PROTOKÓŁ NR 188 [fragment]

Zeznania Abrahama Rozenbanda, lat 14 z Warszawy, Wolska nr 100, syna Hipolita i Estery. Przybył do Palestyny w sierpniu 1943 r. Przez Rosję i Teheran.

Ojciec mój był inkasentem w fabryce, której nazwy nie pamiętam. Było nas w domu 5-cioro dzieci, trzy siostry i dwaj bracia. Starsze rodzeństwo uczyło się i przygotowywało do objęcia posad, aby pomagać ojcu, którego zarobki były niewystarczające.

W czasie bombardowania Warszawy, wszyscy ukrywaliśmy się w piwnicy. Mama tak bała się bomb, że nawet po kapitulacji Warszawy nie wychodziła ze schronu. Siostra Helena prowadziła gospodarstwo. Gotowała posiłki i przynosiła nam do piwnicy. Dom nasz bardzo ucierpiał od bombardowania, a w sąsiednim domu zasypało wielu ludzi w piwnicy. Matka, mimo to nie pozwalała nikomu wychodzić na ulicę. Leżeliśmy w piwnicy, aż do zajęcia miasta przez Niemców.

Kiedy doszła do nas wiadomość, że Niemcy dzielą chleb i zupę pomiędzy cywilów, matka, która nie wyglądała na Żydówkę, wyszła na ulicę i przyniosła nam trochę jedzenia. Po kilku dniach Niemcy spostrzegli, że Żydzi także korzystają z kotłów, śledzili każdego Żyda i dowiedziawszy się, że mama jest Żydówką, wyrzucili ją z ogonka i pobili. Mama cała we krwi przyszła do domu. Widząc matkę pobitą, ojciec oświadczył, że nie pozostanie z Niemcami ani jednej chwili dłużej, zapakował rzeczy w tobołki i ruszyliśmy pociągiem do Małkini.

Niemcy bili wszystkich Żydów podczas rewizji, zabierali im rzeczy, kazali tańczyć i śpiewać i dopiero zmaltretowanych puszczano w stronę granicy. Jechał z nami pewien Polak, który oświadczył Niemcom, że jesteśmy jego rodziną i w ten sposób uniknęliśmy pobicia. Na granicy znajdował się pas ziemi „niczyjej”. Leżeli tam Żydzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, których Rosjanie nie chcieli wpuścić. Oczekiwało się chwili otwarcia granicy. Wszyscy stali z paczkami gotowi do przejścia granicy, którą otwierano na kilka minut. Nocą ustawiano specjalne warty, czuwające, czy nadeszła odpowiednia chwila. Trwało tak kilka dni, głodowaliśmy, nie było chleba. Po wodę chodziło się bardzo daleko, deszcz padał, ziemia była przemokła, z trudem rozpalaliśmy ognisko. Niektórzy myśleli, że skończą życie na tym pasie ziemi „niczyjej”.

Wreszcie granicę otworzono i tłum runął naprzód, tratując się wzajemnie. Rodzice gubili dzieci, w ciemności jeden drugiego nie mógł odnaleźć. Matka sznurem przywiązała do siebie: mnie, Heńka i młodszą siostrę, a starsze rodzeństwo trzymała za ręce. Nie widzieliśmy się wzajemnie po ciemku, tylko się nawoływaliśmy. To samo czynili i inni i powstał taki krzyk, iż myślano, że świat się kończy. Przybyliśmy do małej wioski, stamtąd ruszyliśmy do miasteczka i koleją udaliśmy się do Białegostoku.

## BIBLIOGRAFIA

Dekhel Mikhal, *Tehran Children. A Holocaust Refugee Odyssey*, W. W. Norton & Company, New York 2019

Grynberg Henryk, *Dzieci Syjonu*, Wydawnictwo „Karta”, Warszawa 1994

## ŹRÓDŁA ARCHIWALNE

*Archiwum Instytutu Hoovera. Poles deported to the Soviet Union, 1942-1944. Ministerstwo Dokumentacji i Informacji; zespół 800/41/0; sygnatura 123; Archiwum Akt Nowych w Warszawie.*

## FOTOGRAFIA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ

Przybycie grupy „dzieci Teheranu” do palestyńskiego portu Atlit. Rok 1943. Autor fotografii nieznany. Pozyskano dzięki uprzejmości: jewishgen.org.